



ZANIM

**JAN
TOMKOWSKI**

**PRZYJDA
CHIŃCZYCY**

**ZANIM
PRZYJDA
CHIŃCZYCY**



SERIA LITERACKA
ZE SROKĄ

ZANIM **JAN**
TOMKOWSKI

PRZYJDA
CHIŃCZYCY



2024

© Copyright by Jan Tomkowski & Księgarnia Akademicka Publishing, 2024

Opracowanie redakcyjne: Michał Rymaszewski

Adaptacja okładki: Marta Jaszczuk

ISBN 978-83-8368-012-5

Na okładce wykorzystano fotografię przedstawiającą Filary Stworzenia (NASA, ESA, CSA, STScI; Joseph DePasquale [STScI], Anton M. Koekemoer [STScI], Alyssa Pagan [STScI])

WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków

tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43

e-mail: publishing@akademicka.pl

Księgarnia internetowa: <https://akademicka.com.pl>

Zanim przyjdą Chińczycy
będziesz miał trochę czasu
aby zebrać myśli
i coś postanowić
wypić filiżankę herbaty
opanować dwa albo trzy hieroglify
malowane z takim trudem
napisać wiersz
podobny do stu innych wierszy
pomyśleć o sobie
o żonie o dzieciach
ułożyć jeszcze jeden
plan ocalenia
daremny jak zwykle
zmienić się
gruntownie przybrać
na wadze popatrzeć
w gwiazdy
obrócić głowę na wschód
powiedzieć dwa słowa
konspiracyjnym szeptem
wyrazić nadzieję którą
dzielisz z milionami
naïwnych rodaków i wierzyć
wierzyć
rozpaczliwie że
oni przyjdą
że oni przyjdą
że przyjdą tu Chińczycy

Bałem się.

Bałem się, że znów nic się nie uda.

Bałem się, że ktoś zrobi na mnie doniesienie, w następstwie którego odwiedzi mnie jeszcze przed śniadaniem dwóch nieznajomych.

Bałem się wrogów i fałszywych przyjaciół. Bałem się, że nie zdążę skończyć tej powieści.

Bałem się niespodziewanych dzwonek do drzwi, listów, telefonów, paczek o nieznanej zawartości.

Bałem się wreszcie Taja, raz po raz uwalniającego się spod mojej władzy. Widziałem go pochylonego nad biurkiem, wkładałem mu w dłoń papier i pióro, namawiałem do pisania, w zamian pozwalając podróżować w czasie i przestrzeni. To jego oczami patrzyłem na bitwę pod Waterloo, ścinanie królów, wielkie egzekucje, apokaliptyczne pochody ginących narodów, skrytobójstwa, intrygi, dramaty, zamachy stanu, katastrofy. Ofiarowałem mu dom nad zatoką, nieograniczoną ilość papieru, życzliwość recenzentów, zachwyt czytelników, a nawet parę nagród literackich.

Potrzebował domu, żeby pozbyć się całej tej zgrai, która nie potrafiła milczeć z obawy, że zmusi ją to do myślenia. Dom Taja był bezkresnym labiryntem prawie pustych pokoi. Wybrał najmniejszy z nich i założył tam swoją pracownię. Czasem zaglądał do pozostałych, uchylał ostrożnie drzwi, podnosił żaluzje, domyślał się obecności bliżej nieokreślonych istot. Ludzi raczej nie spodziewał się tam zastać.

Beze mnie byłby oczywiście nikim, zwyczajnym odludkiem, mizantropem daremnie czekającym, aż odkryje jego wielkość inteligentny, wybitny i bezstronny krytyk, lecz ten ród dawno wyginął, jako że uganiał się za własną sławą i marniejącymi z roku na rok dochodami.

Nie miał rodziny, miejsca urodzenia ani narodowości. Mało obchodziły mnie jego przelotne kontakty z otoczeniem, miłości, przyjaźnie i konflikty, skoro największą i jedyną przygodę Taja stanowiło pisanie. W epoce wielkiego zmęczenia, gdy żywiołem najbardziej hałaśliwych autorów stało się niepokahowane gadulstwo, ciągle ufał sztuce układania pięknych zdań.

Postępował inaczej niż Wit, przez jakiś czas hołubiony i kochany, a nawet przeceniany, który pojął głupotę świata w całej rozległości i odczuł ją tak boleśnie, jak nikt wcześniej – a może i później? Dzisiaj dysponujemy tylko jego nieszczęsną bazgraliną, bo odmówił ludzkości prawa do lepszej literatury, malarstwa czy filozofii.

Taj wierzył w siłę stylu i potęgę iluzji. Wyobrażenia zwodzi nas czasami, lecz pisarz kłamie zawsze we własnym imieniu i ponieważ na własny rachunek. Taj gardził obiektywizmem, nie dowierzał historykom ani kronikarzom. Z ludzkich dziejów, które uczynił właściwym tematem swojej książki, zachował ledwie kilka obrazów o wątpliwej autentyczności. Wolał zdać się na domysły: tropił zacierające się z upływem lat ślady proroków i szaleńców, natchnionych wizjonerów i najzwyczajniejszych dziwaków, otoczonych szacunkiem psychopatów i potępionych herezjarchów.

Jego najnowsza powieść składała się z trzydziestu trzech epizodów, które należało wypełnić doskonałymi zdaniami. Co przyjdzie potem? Wielkie odkrycie czy tylko wielkie znużenie i niesmak, że znów zmarnował dobry pomysł i że wszystko trzeba zaczynać od początku?

Historia wydawała mu się wielką pomyłką. Wystarczyło zebrać dokumenty, przestudiować archiwa, złożyć wywód w logiczną konstrukcję. Trzydzieści trzy argumenty na poparcie tezy, że historia w poważnym stopniu zbliżyła się do wieczności, bo niezmienna natura uczyniła ją przerażająco monotonną.

Ludzkość utrzymywała własne błędy, zbrodnie i występki, dlatego trudno byłoby liczyć na przerwanie fatalnego cyklu. Nie będzie zatem odkupienia, nie będzie wieczności innej niż ta, której doświadczamy od stuleci. Co gorsza, historia tak jałowa, przeniknięta szaleństwem i najzwyklejszą nudą, przepojona absurdem (choć zdarzały się piękne chwile) – ta historia nie mogła się skończyć!

Zapisał ostatnią kartkę, potem wstał i ruszył na poszukiwanie następnej ryzy niczym Jazon w pogoni za mitycznym skarbem. Przeobraził się w stęsknionego Orfeusza, przebłagał groźnego Cerbera, by znaleźć się wreszcie w podziemiach swego domu. Hades, ciągle Hades. Na zapisanie dwudziestu stron potrzebował zwykle całej paczki papieru. Codziennie stąpał po grubej śnieżnobiałej warstwie, którą tworzyły pierwsze warianty tekstu. Kiedy szelest stawał się nie do zniesienia albo konieczne okazywało się otwarcie okna, przeznaczał jeden dzień na porządkowanie pracowni. Zmieniał się w archeologa, który odrzuca bez zastanowienia płytką powierzchnię gleby, aby jak najszybciej dotrzeć do ukrytej zagadki. Kartki leżące na wierzchu wędrowały do foliowego worka, nawet nie sprawdzał ich zawartości. Olśnienia przychodziły znacznie później: spostrzegał nagle słowo albo frazę, której osobliwe brzmienie wziął początkowo za dysonans. Z nadejściem wieczoru na biurku zostawały dwa

albo trzy skrawki papieru – jedyny dowód, że dzień nie został zmarnowany.

Pracował powoli: kończył jeden rozdział w tym samym czasie, który inni przeznaczali na obszerną powieść.

Lecz Taj nie potrafił czytać ich książek. Przerażony, spotykał nieraz pisarzy, którym miał ochotę współczuć: zadowolonych z siebie, poświęcających literaturze dwie godziny dziennie.

Taj mylił ich nazwiska i tytuły książek. Daleki od samozadowolenia, pozbawiony cienia pychy, studiował z niedowierzaniem recenzje. Krytyków, którzy go chwalili, uważał za niedorozwiniętych; głosy dezaprobaty wyszły spod pióra tych, którzy nie dobrnęli do końca lektury.

Marzył naiwnie, by jak Restif de la Bretonne składać swe utwory w zecerni. Prawdopodobnie w tych warunkach świat nigdy nie usłyszałby o Taj. Drukarze nienawidzili go, wynajdywali rozmaite preteksty, by pozbyć się kłopotliwego gościa, który nie spuszczał ich z oczu przez wiele godzin i narzucał coraz to nowe terminy korekty, a nie dotrzymywał żadnego.

Pewnego dnia, gdy sądziłem już, że muzy przestały mnie odwiedzać, Taj wyłonił się z mojego snu. Myślałem wówczas bez wiary o swoim pisaniu, a użycie zaimka „ja” wydawało mi się nieprawdopodobne. Teraz podsuwałem Tajowi pomysły, których nie zdołałbym nigdy wykorzystać, bo sparaliżowałyby mnie nieudolność, obawa kompromitacji, przecucie zupełnej kłęski.

Tchórzliwość nie pozwalała mi dzielić się z kimkolwiek własnymi wątpliwościami. Porozumiewałem się z ewentualnym czytelnikiem za pośrednictwem Taja, wypowiadając zazwyczaj myśli, z których żadna nie była moją własnością. Każdą musiałbym bowiem opatrzyć znakiem zapytania albo wykrzyknikiem. A ponieważ często nie ufałem sobie, wołałem oglądać rzeczywistość mądrymi oczami Taja.

Czas wydawał się nam smutny, ale mimo wszystko nie bez nadzieiny. Cztery lata temu było przecież dużo gorzej. A dziesięć lat wcześniej? Albo dwadzieścia? Ze szkoły wynieśliśmy nie tylko matury i stanowczo zbyt wiele optymizmu. Zdaje mi się, że także dziennik klasowy, jakieś zapomniane zeszyty tworzące dokumentację klubu sportowego VIST, który nigdy nie powstał, lecz istniały odznaki, a nawet kronika pełna pustych kartek. No i gipsowego orła w koronie.

Prawdę mówiąc, orzeł był jeszcze bez korony, ale któregoś dnia jeden z nas wspiął się na krzesło, a może po prostu stanął na ramionach kolegów (piękny, symboliczny obraz, do wykorzystania w propagandowym reportażu, plakacie albo nawet fotografii wyrażającej prawdziwe nastroje wśród młodzieży). Ale raczej nie było tam zwartej masy, wyciągniętych rąk, oczu nabrzmiałych łzami, hymnu narodowego odśpiewanego przez chór niepokornych młodzieńców.

Jeśli dobrze pamiętam, to ja namówilem Mirka, by ozdobił orła koroną, a potem – już w maju albo czerwcu, po zakończeniu lekcji i egzaminów maturalnych – wyniósł go na pamiętkę pod marynarką. Orzeł wisiał więc zaledwie kilka miesięcy, ciesząc się z nielegalnej wówczas korony. Na szczęście bardzo długo nikt tego nie dostrzegał, choć byliśmy w pewnym momencie bliscy dekonspiracji.

Podczas ostatniej chyba wywiadówki ojciec Zbyszka, jak się zdaje stary endek pamiętający jeszcze czasy przedwojennych ekscesów w młodzieżowej bojówce, włożył okulary i przyjrzał się uważnie gipsowemu wizerunkowi.

– A niech mnie diabli – powiedział półgłosem do sąsiada – orzeł ma teraz koronę. Chyba rzeczywiście idą zmiany na lepsze?

Ale sąsiad, który z powodu polityki miał niedawno kłopoty w pracy, wołał oczywiście udawać, że niczego nie zauważył.

My sami nie tęskniliśmy zresztą do przedwojennego godła. Ten orzeł miał być gwarancją naszej przyjaźni już po opuszczeniu

murów szkolnych. Raz do roku, a nawet częściej, mieliśmy się spotykać, podtrzymywać kontakt w wąskiej grupie, a przy okazji przekazywać następnemu koledze orła w koronie niczym pałeczkę w biegu sztafetowym.

Orzeł pozostał jednak u Mirka, a jedyne spotkanie, na którym byłem, zakończyło się kompletnym fiaskiem. Ktoś chciał coś załatwić, ktoś wspominał doznane w zamierzchłej szkolnej przeszłości krzywdy, ktoś nie miał czasu i co chwilę podrywał się i tłumaczył, że już musi iść. Butelkę opróżniono szybko, następna jakoś nie chciała się znaleźć.

Na strychu wertowaliśmy – w pośpiechu i bez wielkiego zainteresowania – ocalone nie wiadomo po co sentymentalne pamiątki. Jakieś zdjęcia, scenariusz ze skeczami do szkolnego kabaretu, pożółkły dziennik lekcyjny, regulamin i spis inwentarzowy przedmiotów znajdujących się kiedyś w naszej klasie. Wszystko czuć było stęchłą. Jak całą naszą przeszłość.

Na pożegnanie niektórzy podawali swoje nowe adresy, a nawet numery telefonów. Orła nikt nie chciał natomiast przygarnąć, więc Mirek zapakował go w gazetę i zostawił na strychu.

A przecież wszyscy jakoś się urządzili – lepiej czy gorzej, po swojemu albo pod naciskiem rodziny, we dwójkę, a nawet już we trójkę, bo tak podobno łatwiej i taniej w sumie wychodzi. Witek budował latające modele i zapewniał, że potrafi zbudować taki model, który dotrze na przykład do Paryża, a przynajmniej do Berlina Zachodniego. Twierdził, że gdyby dano mu paszport, zdobyłby na pewno mistrzostwo Europy. Nie miałem wówczas pojęcia, że w takiej dziedzinie jak modelarstwo odbywają się prawdziwe zawody sportowe, podczas których wręczane są medale i nagrody.

Witek podpadł władzy, gdy dorabiał sobie na boku wykonywaniem zakazanych modeli samolotów, czołgów i okrętów. Prywatni kolekcjonerzy płacili mu przyzwoite stawki za modele

junkersów i tygrysów, zaś wykonany z blachy półtorametrowej długości model pancernika Bismarck uznano za arcydzieło.

Jego twórca nie przekonał jednak władzy, że działa wyłącznie z pobudek estetycznych. W tym czasie wolno było co najwyżej budować modele japońskich myśliwców i krążowników. Najlepiej widziane były oczywiście inne przedsięwzięcia – model aury albo czołgu średniego T-34 z charakterystycznymi białymi odciskami rąk załogi na pancerzu. Witek gardził propagandową masówką. Pracował teraz w młodzieżowym klubie modelarskim, zarabiał bardzo niewiele, więc opiekował się jeszcze kółkiem fotograficznym.

Obiecywał, że pożyczy mi dobry aparat na tydzień albo dwa i załatwi filmy albo chemikalia.

Janusz, któremu wróżyliśmy wielką karierę, dziwnym trafem znalazł się na zakręcie. Mówił mało o sobie, znacznie więcej o naszym mieście. Z pozoru szare i brzydkie, miało kryć w sobie niejedną tajemnicę. Janusz studiował jego zapomniane dzieje, wymieniał nazwiska głośnych przed laty włamywaczy.

Wiedział, na których ulicach zbierały się szajki złoczyńców. Opowiadał w ogóle jakieś niestworzone historie, pytał o park położony dwa przystanki za katedrą.

Przysięgał, że co najmniej dwa razy w tygodniu milicja wyląwia stamtąd ludzkie zwłoki, nieraz w stanie rozkładu. Po zmroku nawet patrole tam nie chodzą, za to alejkami spaceruje czasem duch uduszonego bawełnianą tasiemką fabrykanta.

Henryk, który dostał póletat na uczelni, oddawał się studiom nad sektą ascetów. Przeglądał stosy dokumentów, pragnąc wyrobić sobie zdanie o tym dziwnym nieformalnym towarzystwie, które wzięło sobie za punkt honoru ocalenie książek w całości, w ich pierwotnym kształcie, bez jakiegokolwiek zewnętrznej ingerencji. Dlatego nazywano ich również sektą edytorów, choć właściwie nie zajmowali się przygotowywaniem tekstów do publikacji.

SPIS TREŚCI

I	7
II	21
III	43
IV	59
V	81
VI	101
VII	115
VIII	129
IX	143
X	171
XI	185
XII	199

XIII	211
XIV	225
XV	239
XVI	251
XVII	265
XVIII	277
XIX	291
XX	301
XXI	313
Klucz do powieści <i>Zanim przyjdą Chińczycy</i>	355

W Serii Literackiej ze Sroką dotychczas ukazały się:

1. Elżbieta Wojnarowska, *To nie jest raj dla dzikich zwierząt*, Kraków 2021.
2. Elżbieta Wojnarowska, *Córeczka*, Kraków 2021.
3. Elżbieta Wojnarowska, *Janeczka*, Kraków 2021.
4. Iwona Mickiewicz, *A po sto dwudzieste czwarte*, Kraków 2021.
5. Iwona Mickiewicz, *Muhomorki pani Mariorki czy burczymuchy innych pań*, Kraków 2021.
6. Iwona Mickiewicz, *Bezdomnieć*, Kraków 2022.
7. Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, *Ruchome obrazy*, Kraków 2023.



Jan Tomkowski, prozaik, eseista, historyk literatury i badacz idei, łączy w swej twórczości rozmaite gatunki, tematy i dziedziny. Obok monografii, syntez, esejów, szkiców i przyczynków publikuje również powieści i opowiadania. W 1985 zadebiutował jako prozaik powieścią *Ragadon*, cztery lata później ukazały się *Opowieści Szeherazady*. Mniej więcej z tego okresu pochodzą pierwsze fragmenty powieści *Zanim przyjdą Chińczycy*.

Jest to konstrukcja wielowątkowa, hermetyczna, pełna ukrytej symboliki, tropów prawdziwych i fałszywych, fabularnych gier i erudycyjnych aluzji. Akcja tego utworu rozpoczyna się całkiem zwyczajnie, w Polsce w latach osiemdziesiątych, niedługo po stanie wojennym. Polska jest tu krajem, w którym ówczesni młodzi ludzie pragną w miarę wygodnie się urządzić, a najlepiej – z niego wyemigrować.

Bohater powieści, niezbyt zaradny i mało heroiczny, trafia do miejskiej czytelnicy, najdziwniejszego miejsca na świecie, w którym nie czeka się na czytelników, a książek prawdopodobnie w ogóle się nie wypożycza. Powitany tak nieprzyjaźnie przez dwie postacie sprawujące władzę nad książkami zaczyna snuć sieć intryg, które mają doprowadzić do jakiejś zmiany – politycznej, intelektualnej, metafizycznej. Pochłonięty swoim fantastycznym projektem odcina się coraz bardziej od zewnętrznego świata, pograżając się w rzeczywistości z pogranicza szaleństwa i magii. Niepozorna starsza pani może być przecież cesarzową sięgającą po władzę nad światem, a jej zagadkowy towarzysz – organizatorem wielkiego spisku.

Powieść, która pochłania świat, wypiera otaczającą nas rzeczywistość i prowadzi w jakieś nieznane regiony, które czasem przerażają nas, lecz mimo wszystko fascynują. Powieść, która nie opisuje świata, lecz podejmuje z nim spór, a może nawet wojnę na śmierć i życie? Taka powieść byłaby chyba instrumentem poznania, bezcennym i oryginalnym.

Zanim przyjdą Chińczycy to książka pisana przez wiele lat, adresowana do ambitnego czytelnika, stawiająca niemałe wymagania, ale otwierająca również całkiem odmienną perspektywę niż utwory dostarczające łatwej rozrywki.



<https://akademicka.pl>

